

**Bogdan Techmański + 1928- 1996+ – autoryzowane zapiski-  
-wspomnienia**

Urodziłem się w 1928 roku w Hrubieszowie, na obrzeżach którego, moi rodzice posiadali kilka hektarów ziemi i prowadzili gospodarstwo. Ponieważ nie pochodzili z rodzin rolniczych, ciągle dokupywali nowe połacie gruntu aby powiększyć swój stan posiadania.

Z dzieciństwa pamiętam ciągłe rozmowy, że trzeba oszczędzać, by w przyszłości być bogatszym, a w perspektywie wykształcić dzieci.

Mieliśmy drewniany dom z gankiem tzw. "budwarkiem", /rodzaj przedpokoju/. Była w nim duża kuchnia z piecem chlebowym, druga kuchnia i pokój. Po drugiej stronie budynku była też duża kuchnia z piecem do leżenia /ulubione miejsce Dziadka/ i następny pokój.

Początkowo mieszkali z nami rodzice ojca: babcia Anna i dziadek Piotr.

Piotr urodził się w 1844 r. Prowadził handel zbożem i byłem. Miał ponadto dwie karczmy i arendował /dzierżawił/ sady. Jego brat Antoni pracował w starostwie. Dziadek dzieci chrzczył poza Hrubieszowem gdyż tu był tylko kościół unicki. Miał 11 dzieci, Jego żona Anna z domu Ciesielczuk, ur. w 1855r zmarła w 1944r. Pradziadek, ojciec Piotra, Aleksander ur. 1810r. zajmował się aprowizacją i handlem zbożem w majątku Uchanie. Po powstaniu styczniowym dziedzic Uchań został wywłaszczony przez Rosjan. Z nieznanych powodów, wtedy dodano Mu do nazwiska przyrostek... ński. Przedtem nazywał się Techmann lub Tejchman a może Tehman. Był katolikiem ale z pochodzenia mógł być Niemcem lub Żydem. Po upadku majątku w Uchaniach osiedlił się w Hrubieszowie.

Okresowo, mieszkanie po drugiej stronie domu było wynajmowane za 15 zł miesięcznie. Babcia Anna chyba była już niezbyt sprawna, bo pamiętam ją siedzącą wieczorową porą w długiej ciemnej sukience i mrużącą pod nosem zdrowaśki. Do końca życia miała ciemne a nie siwe włosy.

Rodzice mojej mamy wcześniej zmarli, tak że ich wcale nie znałem. Jej ojciec Antoni Godlewski ur. w 1854r. zakochał się bez pamięci w aktorce z trupy teatralnej i wyjechał z nią w 1910 r. do Odessy. Po kilku latach wrócił bez grosza – stracił cały majątek. Zmarł w 1938 roku. Matka mamy, Michalina Godlewska z domu Adamowicz zmarła przed wybuchem I wojny światowej.

W Hrubieszowie mieszkała siostra mojej mamy Sabina, z którą utrzymywaliśmy bliski kontakt.

Ojciec Edward Techmański ur. się w 1896r. Ukończył szkołę polską i rosyjską. Od 1918 r. należał do POW-u. W 1919 roku poszedł do wojska polskiego i do 1920r szkolił żołnierzy. Brał udział w kampanii Kijowskiej za którą otrzymał krzyż walecznych. Po wojnie był dowódcą strażnicy na granicy polsko-niemieckiej na Mazurach /Prusy wschodnie/. W 1922r wrócił do Hrubieszowa i pracował jako zawodowiec w koszarach II Pułku Strzelców Konnych. W 1924r ożenił się ze Stanisławą – moją matką. W 1933r opuścił służbę w wojsku, kupił ziemię i zajął się rolnictwem. Zmarł 8 XI .1984r

Najwcześniejsze moje dziecięce wspomnienia to:

- Wpadnięcie w błoto na ulicy, tak że nie mogłem wyjść. Płakałem i ojciec mnie wyciągnął, a błoto w Hrubieszowie potrafiło być bardzo duże i gęste /czarnoziem/.
- Drugie już groźniejsze wpadnięcie u sąsiadów Panasiewiczów do dołu z wapnem. Szczęściem szybko mnie wyciągnęto.
- Częste letnie burze, kiedy to babcia wystawiała przed dom kociubę i grabie, aby ustrzec przed uderzeniem pioruna.

- Wielkanoc tak ciepła, że szedłem ze święconym ubrany w krótkie spodenki, skarpetki i cieliste nowe sandaalki, których zapach pamiętam do dziś.

Chodziłem do przedszkola, gdzie wybitnym wyróżnieniem było trzymanie ręcznika, gdy inne dzieci po umyciu wycierały weń ręce. Pamiętam dobrze dziadka Piotra, który właściwie nic już nie robił, stąd często nam opowiadał różne historie. Nie mniej jednak był bardzo sprawny, bo mając około 90 lat jeszcze dosiadał konia.

A w ogóle z dziadkiem związanych jest wiele moich wspomnień. Straszyl mnie i moich kolegów, że jak nie będziemy grzeczni to nas „wycharasz” /tzn powycina nam jajka/ i pokazywał duży nóż. Wierzyliśmy w to i oczywiście baliśmy się.

Dziadek kazał nam wspólnie mówić pacierz, a także jak wspomniałem snuł ciekawe opowieści, które jak dorosłem odnalazłem w różnych książkach. Nosił długą brodę /siwą/ i sztuczkowe spodnie. Poza tym miał bardzo starą tzw. „kantyczkę”, którą dziś można byłoby porównać do książki religijnej z modlitwami i przypowieściami. A że był znaną osobą w Hrubieszowie, potwierdziły to później opowiadania profesora Liceum pana Wiatrowskiego, który wspominał że pan Piotr Techmański potrafił skutecznie ludzi rozśmieszać, był ogólnie lubiany i wszystkie transakcje /kupno, sprzedaż/ odbywały się z jego udziałem.

Samotnie natomiast arendował sady a mając 11 – ro dzieci zatrudniał przy tym głównie rodzinę. Pracą na roli nie zajmował się, w czasie I wojny światowej dziadek skutecznie przepędził z sadu żołnierza austriackiego, a jeszcze później będąc już staruszkciem zbił kijem komornika, który za długi chciał z domu zabrać ładne duże lustro. Komornik przestraszył się i uciekł, co rozśmieszyło mieszkańców całej ulicy .

Przed I wojną Hrubieszów był w zaborze rosyjskim i obowiązywała tu religia prawosławna. Dziadek, jako dobry katolik wszystkie 11 – ro dzieci woził przez granicę do zaboru austriackiego do Tyszowiec, aby je ochrzcić.

Teraz opiszę jak dziadek zmarł. Był rok 1939 dziadek nie spał w lecie w domu, tylko w sadzie w szałasie. Sadem zajmował się mając 90 i więcej lat – porządkował go i chyba bardzo lubił. Jak ktoś zakradł się do sadu np. mały złodziejasek, to potrafił gromko krzyknąć „ratunku bandyci”. Któregoś wieczoru powiedział do mojej matki: dziś nie będę spał w sadzie bo jakoś mi zimno i położył się w domu.

Na drugi dzień rano już nie żył. Można powiedzieć, że do ostatnich chwil życia był sprawny i przydatny. A i śmierć miał bez bólu i cierpień.

Problem natomiast miała rodzina, bo jeszcze za życia dziadek wyraził życzenie, żeby pochować go nie na cmentarzu, tylko w sadzie pod orzechem. A nawet w tamtych czasach tego już nie wolno było robić – po prostu ksiądz by nie pozwolił.

W rezultacie dziadek pochowany został na cmentarzu w Hrubieszowie, ale duch jego nie raz chyba przebywał w jego ukochanym sadzie.

Opiszę teraz Hrubieszów przed wojną, oczywiście taki jakim był widziany oczyma 8 – 9 latka.

Centrum miasta było zamieszkane w 60 % przez Żydów, którzy trudnili się handlem, a biedniejsi imali się wszystkich zajęć /wyrabianie sznurków, sznurów i lin z konopi, zbieranie śmieci, odpadów itp./

Sklepów było dużo, ale tych prowadzonych przez Polaków może 4 – 5, pozostałe – żydowskie.

W Hrubieszowie były koszary, w których stacjonował II Pułk Strzelców Konnych. Wojsko brało udział w życiu miasta i było obecne przy najważniejszych wydarzeniach. W święta grała orkiestra wojskowa, a ćwiczenia wojskowe obserwowało

zawsze wiele osób, a szczególnie my, chłopcy. Stąd chyba wzięło się moje zainteresowanie wojskiem, bronią, umundurowaniem, gdyż wszystko to wnikliwie obserwowałem a potem komentowaliśmy z kolegami. Wojsko nam imponowało, a w ogóle Hrubieszów był dla mnie wówczas centrum życia i nie myślałem, że to tylko niewielkie miasto powiatowe. Dopiero znacznie później, przeczytaniu wielu książek, zacząłem marzyć o podróżach i poznaniu świata.

Muszę tu wspomnieć, że dwie moje kuzynki pochodzące z biednej rodziny, a ładne, znalazły sobie mężów wojskowych. Była to Jadzia i Janina. Pochodziły one z rodziny wielodzietnej, a ojciec i matka ich nie mieli dobrej opinii w Hrubieszowie, gdyż obracali się w kręgu pijaczków a i sami też chętnie zaglądali do kieliszka. Trzeba wiedzieć, że przed wojną oficer mógł ożenić się tylko z panną mającą maturę, która dodatkowo musiała wnieść do małżeństwa posag minimum 1000 zł./ ok. 20 krów /

Biedna Jadzia i Janina nie miały ani posagu ani matury. Aby mogły wyjść za mąż za swych oficerów, cała rodzina złożyła się na potrzebne posagi. Pieniądze te miały być pożyczką, lecz nigdy nie zostały oddane. Natomiast brat ich Mietek załatwił sfałszowane świadectwa maturalne. Tak więc również przed wojną cwaniacy potrafili być ” na górze”

Myślę, że z czasem obie te panie uwierzyły i w swoje matury i w posagi. Wspomniany kuzyn Mietek jeździł po odpustach jako tzw. „siłacz” rozrywający na piersi np. łańcuchy. Podejrzałem go kiedyś jak sprytnie podpiłowywał swoje akcesoria przed występem. Drugi brat Stefan również był nie lada spryciarzem /podczas wojny uciekł z obozu/, choć jako cywil miał zawód zwyczajnego fryzjera.

Przed wojną w mieście z okazji różnych świąt naszym było dużo festynów, puszczano fajerwerki, rakiety.

Ja i starsza o 3 lata siostra Jadzia /było nas wtedy tylko dwoje / chodziliśmy często z rodzicami na te imprezy, w których oczywiście często brało udział wojsko.

Rodzice chodzili regularnie do kina, przeważnie w soboty. Zabierali nas często ze sobą. Pamiętam że całowali się podczas projekcji. Mama i ojciec ubierali się wtedy odświętnie i wyglądali jak zakochana para.

Często czekaliśmy jak rodzice przyjdą z miasta i przyniosą nam coś dobrego. Były to bułki kajzerki z masłem i szynką, chałwa i cukierki.

Muszę tu zaznaczyć, że byłem zdrowym chłopcem, natomiast Jadzia była słabego zdrowia. Pamiętam, że matka chodziła z nią często do lekarza. Potrawy Jadzi były dietetyczne, inne niż te które my jedliśmy w domu.

Moje choroby, na które zapadałem raz, lub dwa razy w roku były to najczęściej przeziębienia, które skutecznie leczyło się naftą /łyżkę wypijałem kilka razy dziennie przez parę dni/, nacierano mi plecy i na rano byłem właściwie zdrowy/. Oczywiście dla pocieszenia zjadałem dużo konfitur z różnych owoców.

Do szkoły zacząłem chodzić przed wojną – najpierw do bliskiej 4-klasowej, a potem do wyższych klas na drugi koniec miasta.

Ze szkoły pamiętam zdarzenie, że rodzice nie chcieli puścić mnie na wycieczkę szkolną do lasu. Oczywiście bardzo płakałem i w ostatniej chwili wymogłem pozwolenie. W ogóle to albo byłem spryciarzem, albo też rodzice mieli miękkie serca, bo wiele potrafiłem na nich wymóc płaczem, lub też odmawianiem jedzenia. Chyba było to jednak błędem wychowawczym, bo rodzice dawali mi nieraz po 5 groszy, żebym się już nie gniewał ale łaskawie zjadł. Natomiast nie mogłem przeboleć, że kiedyś składane przeze mnie pieniądze w skarbonce znikły, gdyż zostały przeznaczone na zakup pola. No, ale pole było dla nas zawsze najważniejsze.

Ojciec jak już wspomniałem, brał udział w wojnie 1920 roku, gdzieś koło Kijowa. Po wojnie pracował w koszarach, dzięki czemu zarabiał pieniądze składane na zakup ziemi. Często nosiłem ojcu jedzenie do pracy.

Z przed wojny pamiętam swoje nauczycielki panie Schuster /Jadwiga i Maria/. Niegrzeczne dzieci zostawiane były w tzw. „kozio” tzn. po lekcjach nie mogły iść do domu tylko, musiały godzinę siedzieć w klasie. Potem tej procedury zakazano, z uwagi na niepokój rodziców. Jak w każdym małym mieście były w Hrubieszowie tzw. „oryginały” czyli ludzie, którzy inaczej się zachowywali i odstawali w jakimś stopniu od innych. W dużym mieście tacy ludzie byłiby znani tylko w najbliższym sąsiedztwie albo i nie, natomiast w małym mieście wszyscy ich znali.

Tak więc i u nas w Hrubieszowie były 3 starsze panie nazywane przez wszystkich „święte”. Mieszkały blisko cmentarza w starym drewnianym domu, który otoczony był przez krzaki i chaszczę. Nie wiem dokładnie czym się trudniły, trochę uczyły a trochę leczyły. A my, małe dzieci bałyśmy się ich tak, że swoistym hazardem było podejść blisko ich domu. Prawdopodobnie były to Bogu ducha winne kobiety, którym nie ułożyło się życie osobiste i przez to zdziwaczały. A jeśli chodzi o odwagę, to dla mnie swoistym wyznacznikiem odwagi było noszenie wieczorem ojcu jedzenia, jak pracował koło cmentarza, ale był to nie spacer lecz bieg z bijącym sercem.

Pamiętam też, że ojciec łowił ryby na rzece Huczwie, a ponieważ w gospodarstwie zawsze było coś do zrobienia, matka niechętnie patrzyła na te jego wypadki z kolegami. Tu ja byłem sprzymierzeńcem ojca, gdyż cichutko wynosiłem mu wędki z domu, a on po prostu jak szczupak się wymykał.. Oczywiście jak przyniósł smaczne ryby, miał wszystko darowane.

Rzeka Huczwa była dla mnie czymś tajemniczymi groźnym . Kręta głęboka , pełna wirów ciemnej wody, zawsze budziła we mnie strach. Woda była tak czysta że Ojciec podczas sianokosów, co jakiś czas wchodził do niej, napełniał kwartę i przynosił ją nam do picia.

Jak rozpoczęła się II wojna światowa miałem niecałe 11 lat. Byłem na tyle mały, że nie zdawałem sobie sprawy z grozy wojny / nie tylko młodzi ludzie dzięki propagandzie nastawieni byli na rychły koniec wojny – no i oczywiście pokonania Niemców wraz z naszymi mocnymi sojusznikami /. Ja jako 11 –latek zainteresowany byłem wszystkim, w pewnym sensie cieszyłem się, że tyle rzeczy się dzieje. Zobaczyłem samochody, motocykle, cały ten sprzęt zmotoryzowany. Ciekawiło mnie to gdyż bo przed wojną w Hrubieszowie były tylko 3 samochody, w tym dwa autobusy Lubart, które kursowały do Chełma i Włodzimierza. Samochodów osobowych nie było, tylko dorożki ładnie pomalowane, które służyły za taksówki. A słynna droga na Zaleszczyki, którym tzw. „wielki świat” uciekał do Rumunii prowadziła właśnie przez Hrubieszów, tak więc było co obserwować.

Pierwszą zapowiedzią zbliżającej się wojny było to, że w końcu sierpnia 1939 roku zapełniły się koszary wojskiem, a po mieście krążyła straż wojskowa. O tym, że wojna rozpoczęła się 1 września dowiedzieliśmy się z ulotek rozrzucanych z samolotu. Na razie było cicho i nic się nie działo, dopiero 4 września zaczęły szosą na wschód zmierzać samochody.

Ciągły przejazd różnego typu polskich samochodów trwał dzień i noc do 12 września. Od 12 września już zaczęło się bombardowanie niemieckie /widziałem 5 samolotów/.

Samochody zmierzające szosą na Zaleszczyki bardzo nas interesowały, staliśmy godzinami obserwując uciekinierów. Niektórzy z nich zatrzymywali się u nas i u sąsiadów na krótki wypoczynek, innym brakowało już benzyny. W Hrubieszowie czuli się w miarę bezpiecznie, gdyż na początku września było tu jeszcze dużo polskiego wojska. Dwunastego września pojawiły się kolumny niemieckiego wojska, jechali wzdłuż szosy koło dworca na południe. Były tam ciemno – szare samochody ciężarowe, motocykle, samochody osobowe jak również czołgi.

Dla nas chłopców, a myślę że i dla dorosłych wrażenie było niesamowite - cała ta potęga nowoczesnej jak na owe czasy armii.

Nad Bugiem rozegrała się walka z polskim wojskiem trwająca dwa dni, a potem Niemcy wycofali się na południe. Na tych ziemiach było jeszcze dużo polskiego wojska, które dzielnie walczyło.

Do 23 września w samym Hrubieszowie było w miarę spokojnie, słychać było tylko odgłosy dalszych strzałów. Ludzie nie przewidywali jeszcze totalnej klęski, mieli nadzieję na zwycięstwo, szczególnie jak Anglia i Francja wypowiedziały wojnę.

Niestety, 23 września weszli do Hrubieszowa Rosjanie na mocy paktu Ribentrop – Mołotow.

Polacy początkowo bili się z Rosjanami.

Administracja rosyjska trwała około miesiąca. Rosjanie grabili gospodarstwa, wykupywali ze sklepów zegarki i inne rzeczy.

Pamiętam, że rosyjskich żołnierzy było dużo, ale ubrani byli bardzo biednie. Któregoś dnia grupa żołnierzy tych przysłała do naszego domu, prosząc o jedzenie. Matka dała im jasny chleb swojego wypieku i kiełbasę. Bardzo się dziwili, że tak dobrze jemy i pytali czy to u nas jakieś święto /prazdnik/? Pamiętam też, że kiedyś rzucałem ruskim żołnierzom jabłka, które brali szybko i ukradkiem, bojąc się, że straż im nie pozwoli na to. Stąd wniosek, że i jabłek byli spragnieni, a przecież była to jesień, czas dojrzewania owoców.

Muszę zaznaczyć, że hrubieszowscy Żydzi z radością, chlebem i solą witali wchodzących do miasta zarówno Niemców jak i Rosjan, nie przewidując tego co im Niemcy wkrótce zgotują.

W październiku 1939 roku wkroczyli na dobre Niemcy. Po wycofaniu z Hrubieszowa wojska radzieckiego, a przed wkroczeniem Niemców ludzie zabierali z koszar co się tylko dało, węgiel ubrania, zapasy żywności itp. Oczywiście mój ojciec brał również w tym udział a zdobycz była dla nas, dzieci prawdziwą uczta.

I tak zaczęła się okupacja niemiecka, Dorośli bali się na pewno, a my dzieci odczuwaliśmy więcej ciekawości niż strachu. Coś się ciągle działo.

Pierwszy raz w życiu zobaczyliśmy różne armie, także różne ich wyposażenie, coś, o czym nawet w książkach się nie czyta.

Jednocześnie zaczął się mały bojkot okupanta, jego poleceń. A to się nie zgłosiło świni do kolczykowania, a to ukryło się rower itp.

Nie zdając sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa, my chłopcy robiliśmy różne rzeczy. Np.: raz ukradłem niemieckiemu żołnierzowi karabin i przez całe miasto szedłem z nim do domu, schowanym w nogawce spodni, kuśtykając jak kaleka.

Pomalutku w stodole zebrał się cały arsenał broni i naboji, no bo nikt nie wierzył, że okupacja będzie trwała wiecznie, a my młodzi przygotowywaliśmy się oczywiście do walki - kiedy nie wiadomo, ale trzeba było być gotowym. W stodole również uczyłem się strzelać.

Kilka lat później doszło z tego powodu do tragedii. Pożar naszej posiadłości /1950r/ zajął stodołę. Przybyli strażacy zaczęli gasić jężory ognia. I wtedy płomień sięgnął słomianego pokrycia stodoły. Tysiące nagranych naboji zaczęło się rozrywać, kule wokół gwizdały. Strażacy i sąsiedzi pokładli się na ziemi a wybuchy trwały aż do całkowitego spalenia się budynku. Nazajutrz UB zabrało Ojca do więzienia. Siedział w nim / Zamek Królewski w Lublinie/ dwa lata.

Średnich szkół polskich nie było, zacząłem więc chodzić do szkoły mechanicznej, co mnie dodatkowo chroniło przed wywiezieniem na roboty do Rzeszy, bo w tej szkole naprawialiśmy niemieckie samochody, czołgi, silniki samolotowe i wyrabialiśmy części do nich.

Dziwna to była szkoła, gdzie w lecie połowa starszych uczniów zniknęła

a Dyrekcja patrzyła na to przez palce. Po wielu latach dowiedzieliśmy się, że instruktor uczący nas zawodu niby współpracujący z Niemcami, w rzeczywistości był Rosjaninem związanym z wywiadem ZSRR stąd mogło się tak zdarzyć, że starsi koledzy na lato szli po prostu do lasu do partyzantki.

Poziom w szkole był niski, szczególnie z teoretycznych przedmiotów tak, że po wyzwoleniu trudno mi było sprostać wymaganiom stawianym w liceum.

Np.: lekcje matematyki odbywały się w ten sposób, że nauczyciel wprowadzał tzw. „rozgrzewkę” tzn. podawał jakąś liczbę lub dwie, trzeba było dodawać je do siebie, potem od tego, co wyjdzie odejmować i tak dalej.

Powstawała piramida dodawania i odejmowania co zajmowało dużo czasu a było bezsensowne.

Niestety równania I i II stopnia nie wspominając już o funkcjach logarytmicznych itp. były dla nas pojęciami nie znanymi, a w liceum już wymagane. W związku z tym, opanowaliśmy z kolegami do perfekcji / Bocheński, Turowicz/ sposób podpowiadania wg. alfabetu Morse'a oraz inne metody ściągania. I tak w tym powojennym okresie uzyskaliśmy matury i aby to uczcić pierwszego dnia całą grupą wyszliśmy na miasto z papierosami w ustach, jako że jesteśmy tak bardzo dorośli.

W Hrubieszowie było mało rozrywek, ale działało kino. Oczywiście niektóre filmy były dla dorosłych, na które uczniów nie wpuszczano.

Używaliśmy więc wszelkich sposobów aby zobaczyć film /wchodzenie pod ławki/.

Pamiętam, że kiedyś umalowaliśmy sobie wąsy, włożyli kapelusze i udawaliśmy dorosłych. Obecni w kinie nauczyciele oczywiście od razu nas poznali, ale tym razem zareagowali tylko śmiechem.

A wracając do szkoły mechanicznej, to tam zrobiłem prawo jazdy na ciężarówce, którą przejechałem może 3 – 5 km.

Woźnym naszym był pan Jan, któremu często pomagaliśmy obierać ziemniaki na obiad.

Natomiast bardzo ładnie maszerowaliśmy i śpiewaliśmy na głosy.

Nasza piosenka to:

*Hufiec szkoły mechanicznej maszeruje wraz  
Chociaż zwą nas smoluchami, śmiejmy z tego się  
Bo smoluch zuch, kocha za dwóch  
A w sercu do dziewczyny żal.....*

Jest to urywek, może trochę przekrecony, ale tyle pamiętam. W ogóle miałem dużo kolegów, a najlepszym był chyba Mietek Panasiewicz, mieszkający parę domów dalej. Panasiewiczowie byli bogatymi gospodarzami a moi rodzice zawsze chcieli im dorównać. I choć mieliśmy mniej ziemi, w domu naszym jedzenie nie było gorsze niż u nich, nie byliśmy gorzej ubrani, a poza tym mieliśmy więcej książek.

Mietek też chodził do szkoły mechanicznej. Przyjaźń ta przetrwała z niewielkimi przerwami długo, do dzisiejszego dnia.

Tyle o mojej edukacji w Hrubieszowie, a teraz wrócę jeszcze do lat okupacji. W Hrubieszowie robiło się coraz goręcej, bo Ukraińcy sprzymierzeni z Niemcami podpalali całe wsie. Mieszkając na obrzeżach miasta czuliśmy się również zagrożeni. Całe noce czuwaliśmy na zmianę /oczywiście mężczyźni/, planując gospodarstwa, oczywiście z bronią w rękę. Patrzyłem na dorosłych, którzy się bali, podczas gdy dla mnie była to przygoda i naprawdę nie odczuwałem strachu tylko dreszcz emocji i dumę, że na mnie spoczywa tak duży obowiązek.

Mimo wojny i okupacji, dzieciństwo moje wspominam jako szczęśliwe. Życie okupacyjne nie przeszkadzało nam płatać różne żarty, wyśmiewać ludzi starszych, którzy się bardziej bawili bo też już inaczej oceniali sytuację. Strasziliśmy więc pana Sołowieja, udając niemieckich żołnierzy, a on wchodził ze strachu pod łóżko. Dla nas to było bardzo śmieszne, a dla niego?

Pamiętam , że panu Szubartowskiemu wsadziliśmy na dach domu cały wóz . Nie wiem teraz jak nam się to udało ,ale żart uważaliśmy za szczególnie udany.

Ojciec mój natomiast imponował mi jako człowiek odważny i zaradny. Jak zbliżał się front nie chciał opuścić gospodarstwa. My co prawda z matką i dwiema siostrami wyjechaliśmy gdzieś na wieś ale szybko wróciliśmy.

A na wszelki wypadek dla kobiet i dzieci zrobiliśmy z ojcem w sadzie prawdziwy schron w malinach.

Był to wykopany dół w kształcie litery X zakryty z zewnątrz deskami, na to liście i roślinność.

Ponieważ nasze maliny rosły bardzo wysoko , nikt by nas nie znalazł , a ewentualnie pocisk też by się odbił od uginających się desek .

Mieliśmy i my, niestety przykre doświadczenie , gdyż w czasie wojny w Hrubieszowie zapanowała czerwonka, zmarło dużo dzieci a wśród nich nasza mała 3- letnia siostrzyczka Elżunia. Przeżyłem to bardzo, gdyż było to wyjątkowo miłe dziecko, a moja matka zupełnie się załamała.

Po jakimś czasie urodził się brat Krzysio, tak że była nas trójka, ja i Jadzia prawie dorośli i dużo od nas młodszy Krzyś.

W Hrubieszowie i okolicach było dużo Ukraińców, a jednocześnie dużo Polaków było wywożonych na roboty do Niemiec. Aby się tego ustrzec niektórzy Polacy podawali się za prawosławnych i tych nie tykano jako miejscowych z pochodzenia Ukraińców.

Inni natomiast szukali różnych wybiegów, np. moja matka znająca trochę niemiecki a perfekt francuzki, poszła do Niemca, który w okolicy miał gospodarstwo i uzyskała od niego zaświadczenie „na niby”, że jest u niego zatrudniona.

Jak wiadomo za okupacji nie istniały szkoły średnie polskie.

Gdy kończyliśmy szkołę podstawową, nasze nauczycielki rozdały nam polskie książki mówiąc: ”pamiętajcie, że zawsze jesteście Polakami”. Utkwiło mi to głęboko w pamięci, a książki umieściłem na strychu gdzie był taki mój azyl , tam czytałem , odpoczywałem no i marzyłem o walkach, podróżach a może już trochę o dziewczynach.

.....

Tak dotarliśmy do Jeleniej Góry, gdzie okazało się, że to wszystko prawda –były wolne domy i była praca. Cóż jednak, trochę przestraszyliśmy się pracy w fabrykach, których oprzyrządowania nie znaliśmy, a tak naprawdę to chyba byliśmy za młodzi na samodzielne życie z daleka od domu i przyjaciół. Wszyscy w końcu wróciliśmy do Hrubieszowa do rodziców.

Podjąłem więc naukę w liceum, a o trudnościach pisałem już wcześniej.

Potem było wojsko. Od dawna marzeniem moim było zostać wojskowym, co w zasadzie akceptowała i rodzina. Służyłem w marynarce wojennej w Gdańsku i zapisałem się jednocześnie na Politechnikę. Ojciec długo jeszcze wspominał, jak przyjechałem do domu w i trochę chyba żałował, że nie zostałem w wojsku w marynarce.

Rzeczywistość w wojsku w czasach stalinowskich była jednak zupełnie inna niż przed wojną, co znałem z opowiadań i obserwacji, a także książek i popularnych piosenek. Po wypadku z nogą, na którą przeleżałem 4 miesiące w szpitalu uzyskałem zwolnienie z wojska. Przyjechałem do Warszawy i zdałem na Uniwersytet Warszawski na Wydział Prawa. Jednocześnie podjąłem pracę, żeby się jakoś utrzymać, bo jak wspomniałem rodzice mało mogli mi pomóc ponieważ po spaleniu budowali nowy dom.

A teraz opiszę , gdzie i jak mieszkałem.

Najpierw zamieszkałem u ciotki w Miłosnej k/Warszawy , skąd było daleko, dojazd niewygodny i do pracy i na uczelnię . Po jakimś czasie ciotka mi wymówiła mieszkanie i od tej pory pogniewałem się na nią .



Potem mieszkalem trochę „na waleta” w akademiku /jak się wówczas powszechnie mieszkalo bez oficjalnego przydzialu / .

Nastepnie na Mazowieckiej , niby centrum i wszedzie blisko , ale dziura okropna . Pełno bylo myszy i pluskiew , a w dodatku wlasicielka probowala mnie uwodzic .Zeby chociaz byla mloda i ladna , lecz niestety byla brzydka i wg mojej oceny o wiele za stara . Szczęśliwy więc byłem jak dostalem miejsce w hotelu robotniczym na Ochocie, bo i warunki lepsze no i koledzy, z którymi się zżyłem. Zawsze można było coś zrobić – grać w brydza, iść do kina czy na zabawę.

Ponieważ już skończyłem studia i dostalem nakaz pracy, na szczęście , w Warszawie, marzyłem o własnym mieszkaniu po latach tułaczki i przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Podjąłem pracę w PKPG / osławiona socjalistyczna instytucja, która oficjalnie po 1956 roku się rozwiązała, lecz do tej pory praktycznie istnieje pod inna nazwa i z mocno ograniczonym zakresem działania /. Tam poszedłem, gdyż obiecywano w krótkim czasie mieszkanie. No i doczekałem się samodzielnego mieszkania na Wilczej 11 m 20. Najważniejsze, że nie był to pokój przy rodzinie, co w tamtych czasach było często praktykowane i to nie tylko dla kawalerów, a nawet rodzin z dziećmi.

Mieszkanie było zapuszczone, mebli nie miałem, ale mobilizując w końcu kolegów urządziłem to mieszkanko. Dostałem w prezencie przedwojenne radio / śmieszne z żaluzjami, ale takiego by się już chyba teraz nie znalazło/. Tapczan i szafę kupiłem, miałem też portret nagiej kobiety / chyba prezent /.

No i poczułem się nareszcie swobodny na własnych śmieciach. Moim popisowym daniem, które sam potrafiłem przyrządzić była „zarzutka”, czyli po prostu kapuśniak. Ponieważ mieszkanie było blisko pracy – miałem ciągłe wizyty kolegów na brydza, przed 1 na zarzutkę no i tak sobie posiedzieć. Chwilami męczyło mnie już to towarzystwo i może dlatego w dalszym życiu nie przywiązywałem takiej wagi do życia towarzyskiego. W ogóle myślę, że po wojnie wymuszone warunkami zagęszczenie mieszkaniowe / nawet w akademikach mieszkalo w jednym pokoju po 6 – 8 osób na łózkach piętrowych / spowodowało dążenie ludzi do spokoju i intymności. A życie w czasach stalinowskich także preferowało różnego rodzaju świetlice, wspólne wyjazdy na wieś na agitację, wykopki itp. Poza tym w tygodniu potrafiło być kilka zebrań i trzeba było mocno „główkować” , by całkowicie nie poświęcić się działalności społeczno – politycznej. Byliśmy już nad to za dorośli, lecz czasy były takie, że albo trzeba było cicho siedzieć i udawać, gdyż w przeciwnym razie można było utracić i pracę i mieszkanie, a nawet iść do więzienia, lub też zaangażować się w to w co nie wierzyłem. I to i to było niedobre i trudne, tak więc nauczyłem się lawirować, a na codzienne życie w zakłamanym świecie lekarstwem była oczywiście wódka, często brydż i dziewczyny. Tak więc życie biegło – praca – dom, a każdy urlop w Hrubieszowie na żniwach. Miałem to chyba wpojone, jako obowiązek wobec rodziców. Pamiętam, że ledwie się wyrwałem na ostatni dzień Festiwalu Młodzieży i Studentów, który odbył się w Warszawie w 1955r. Dziewczyny owszem były, ale długo nie mogłem spotkać takiej, z którą chciałbym dzielić dalsze życie.